



RECENZJE I OMÓWIENIA

Urszula Koziół, *Supliki*, WL, Kraków 2005, 72 s.

Jak zawsze do tej pory, także i w najnowszym zbiorze, najważniejsze u Urszuli Koziół jest słowo: intrygująco brzmiące, wieloznaczne, ujawniające w niespotykanym sąsiedztwie całe pokłady ukrytych znaczeń i niespodziewanych sensów. Problemem zaś, który tym razem zdominował tematykę wierszy wrocławskiej poetki, jest przemijanie i śmierć. Ich tonacja bynajmniej jednak nie jest funebralna, żałobna. Zadziorny charakter („nie jestem dobrze ułożona / nie chcę być dobrze ułożona / starczy, że dobrze ułożona / zdążę być w trumnie”, *Zamiast wiersza II*) i przekora ciągle pełnej wigoru starszej pani nie pozwoliły jej ani na zbytne roztkliwianie się nad sobą, ani na śmiertelnie (we wszystkich - łącznie z dosłownym - znaczeniach tego słowa) poważne dywagacje o niewesołym w istocie fakcie żegnania się z życiem i zmagania z coraz bardziej nieposłusznym ciałem - w żartobliwej zadumie poetyckiej prozy *Traktaciku o miłości bliźniego* następująco opisywanym w kontekście - nabierającego z upływem czasu zaskakująco nowych znaczeń - chrześcijańskiego przykazania miłości:

„Czy na myśl, że masz kochać bliźniego swego jak siebie samego nie wpadasz w panikę? Bo czy ty samego siebie kochasz? I czy twój organizm tę miłość aby na pewno odplaca, czy tylko płaci pięknym za nadobne?

Ilekróć spojrzysz w lustro i porównasz dzisiejsze odbicie z dawnym, albo jeśli obejrzysz obraz bądź wykres własnych organów wydobyty na jaw prześwietleniem czy przyłapany elektronicznym impulsem na bezrytmie, bezwładzie i odkształceniach, czy nie nabierasz podejrzeń, że oto rozmijasz się z samym sobą, że się z siebie wyobcowujesz, że samemu sobie stajesz okoniem i że w najtajniejszej głębi coś tam przeciw tobie spiskuje, coś się tam ciebie zapiera i usiłuje działać ci na przekór?”

Są jednak i oczywiste plusy wieku podeszłego, jak możliwość spojrzenia na wiele spraw z zupełnie nowej perspektywy. Urszula Koziół odważnie staje do ostatniej rozgrywki, nazywając rzeczy po imieniu i bez eufemistycznej pruderii mówiąc o tym, co bolesne i trudne, choć też nie stroniąc od lingwistycznych zagadek, których rozwiązanie pozwala odkryć drugie, metafizyczno-eschatologiczne dno jej poetyckich suplik. Właśnie suplik, a nie suplikacji, bo subtelna semantyczna różnica dzieląca oba określenia jest tu bardzo istotna. Nie są te wiersze bowiem kornym głosem strwożonej duszy, która oddaje się pod łaskawą opiekę Pana, jak w kościelnych pieśniach błagalnych, czyli suplikacjach w rodzaju *Święty Boże*, ale mają często charakter suplik, które składa suplikant, a więc ten, co suplikę wnosi, jak dawny chłop do pana pisemną prośbę czy skargę.

Wycieczka zatem w odległe stulecia, w otwierającym tom wierszu *W barwach amaro*, z przypomnieniem nazwisk poetów i królów, nie jest przypadkowa. To z jednej strony pretekst do gorzkiej nieco zadumy nad ścieżkami przeznaczeń, którym na imię Historia, skazujących poczciwego króla Stasia na pośmiertną poniewierkę jego doczesnych szczątków, z drugiej - okazja do westchnienia nad przewrotnością pamięci i kaprysami poetyckiej sławy, bo któż z młodych zna dziś utwory Trembeckiego czy Niemcewicza, którzy przed laty, tak jak do dzisiaj każdy poeta

nadal zapisują łaskawe okruchy
z łaskawego stołu
łaskawym wróblom

szarobure piórka ulotne
nad szarym blokiem
zwidują im się
jak ulotny taniec Kossowskiej

ptasi świr wystukuje jak zawsze
w klawiatury ich parapetów
ulotny werset
co ledwo wpadnie jednym uchem
do starczej głowy
to zaraz drugim uchem wylatuje.

(*W barwach amaro*)

Przemijanie u Urszuli Koziół nie stroi się też w szaty aż nadto symbolicznej cmentarnej czerni - poetka wolałaby, by był to kolor amaro, poetycka wersja amarantu, lecz - uwaga!- bez wątpienia nie tylko o czerwień tu chodzi jako kontrpunkt serdecznej krwi życia wobec martwoty i bezbarwności śmierci, ale o coś więcej - bo aż o nieśmiertelność: od greckiego *amarantos* - *nieśmiertelny*; *nie więdnący*.

Wracając zaś do suplik Urszuli Koziół, nasuwa się pytanie, do jakiej instancji są kierowane, skoro „Bóg - jeśli jest - doprawdy nie zna umiaru w zadawaniu nam bólu” - pisze w *Małym traktacie o bożych niesprawiedliwościach*, który kończy krótkim „Nie wierzę”. Nie szczędzi poetka sobie i nam, czytelnikom, drwiącego memento znaczonego opisami powolnej i nieuniknionej degradacji biologicznego jestestwa - jakby na potwierdzenie nieczułości owej siły wyższej: losu, ananke, Boga (wciąż jeszcze pisanego wielką literą), w której przychylną ingerencję tak bardzo chcielibyśmy wierzyć:

„Nie dość więc, że stary człowiek szpetnieje, kurczy się, marszczy i przecieka jak dziurawy garnek, nie dość, że traci zęby i włosy, musi nadto jeszcze tracić pamięć i rozum? Zdolność stanowienia o sobie? Ba, zdolność utrzymania się na nogach, dźwignięcia się na zwykły stopień, bo nawet głupie schody uzurpują sobie teraz prawo rządzenia jego krokami?

Nie, nie, doprawdy, Bóg - jeśli jest - nie zna umiaru w zadawaniu nam cierpień i upokorzeń”.

Co więc jest ostatecznym udziałem ludzkiego bytu-ku-śmierci? Czy po niej przynajmniej czeka nas rekompensata?

Rozważania o tym, co po drugiej stronie, jeśli jej istnienie przyjmie się jako pewną alternatywną możliwość - zwykle towarzyszą refleksji eschatologicznej, wydaje się jednak, że za aforystyczną wirtuozerią poetyckiego słowa czai się w tym przypadku trzeźwa racjonalistka, która nie ma już zbyt wielu złudzeń co do natury nieuchronnego i jego praw, jakim podlegają wszyscy i wszystko:

co wielkie i co małe
dynda na uwiezi
tego samego nic.

(*** stara rzeka nie ma siły...)

Tym prawom podlega nawet miłość:

bo już między tobą a mną
zarysowuje się galopująca pustka
zdyszany bieg
powrót do niebytu
prosto w czelusć bez dna
i bez echa

(***dajesz mi różę...)

Urszula Koziół nie odrzuca jednakże chyba żadnej z eschatologicznych hipotez czy koncepcji świata pozagrobowego - od hinduistycznej sugestii odpoczynku ducha w błogosławieństwie nirwany począwszy, skończywszy zaś na powrocie do prabytu poprzez rozproszenie się czy rozplynięcie we wszechświecie jako cząstka jego egzystencji w materii rzeczy i słowa, by reinkarnować w innej formie istnienia i powrócić pod zupełnie nowym mianem:

Na pożarcie białym skałom
rzucicie moje kości białe
niech swym prochem, swoim miałem
w żebro muszli wniknę cała
przyjmę nowe imię
Fissurella
Diodora
Nerita Peloronta
Pyramidella

amin

Nim odpomną mnie anieli
złożę biel swą w muszli bieli
niechże skrzydeł mi udzieli
Pholadidae cyrtopleura
Panopea glycymeris

zrzeknę swego się imienia
dostąpię przeistoczenia
amin amin amin

(Supliki)

Egzotyka pięknie brzmiących łacińskich nazw tropikalnych muszli staje się kuszącym mirażem odrodzenia w amonicie poetyckiego Logos obiecującego wieczne trwanie, które pieczętuje mistyczne trzykrotne „amin”. Nawiązanie do „amen” wieńczącego modlitwę nie podlega dyskusji, ale poetka nie byłaby sobą pozbawiając czytelnika intelektualnej gimnastyki, bowiem „amin” niewątpliwie intryguje. Mnie poetka szarada skłoniła do poszukiwań encyklopedycznego źródłosłowa wyrazu, którego wyjaśnienie najbliższe jest niezbyt romantycznej, ale za to znakomicie puentującej wiersz definicji chemicznego procesu „wprowadzania grup aminowych do związków organicznych” - czymże bowiem innym (oprócz duszy, naturalnie) jesteśmy, jeśli nie nietrwałą mieszaniną pierwiastków chemicznych, z których zbudowany jest nasz ziemski świat i do którego w tej właśnie postaci po śmierci powracamy do życia.

Definiowanie śmierci niespodziewanie prowadzi więc do definicji życia, które okazuje się być nie igraszką bliżej nie znanych żywiołów, ale aktem niezłomnej woli, „możeniem” - „imperatywem bytu”: „Zatem bądź, móź! - apeluje poetka, mając pełną świadomość, że akt ów jest aktem bohaterstwa „w dobie rozłamu dwu czy nawet trzech epok”, kiedy trudno nie zwątpić w człowieczeństwo, w bycie zwyciężające posiadanie, skoro przestały w nie wierzyć nawet bez-

pańskie psy, o których pozornie beznamiętnie, a w istocie niezwykle przejmująco i poruszająco pisze w *Traktacie o niczych psach*.

Czytając nowe wiersze Urszuli Kozioł opublikowane w tomiku *Supliki* po dziesięcioletniej przerwie, smakować możemy styl ich autorki jak stare dobre wino, które z upływem czasu nie straciło nic ze swego bukietu i w którym odnajdziemy jego najbardziej charakterystyczne nuty: inteligentną drwinę, ironiczny dystans, konceptualną grę ze słowem, głębię filozoficznych rozważań o sprawach ostatecznych podaną lekko i z finezją w błyskotliwych zderzeniach i metamorfozach słów.

Skala możliwości warsztatowych Urszuli Kozioł jest niezwykle szeroka - od rozbudowanych traktaczków - opowieści poetycką prozą, po, zasługujące już chyba na odrębną przegródkę gatunkową, sentencjonalne i maksymalnie skondensowane leksykalnie i znaczeniowo *wrywki* - sui generis fragmenty, które stają się autonomicznymi i osobnymi całością w rodzaju:

wchodząc
rozwidniasz mnie

*

do znalezienia nic
do stracenia wszystko
ot, całe życie

*

żurawie
znów dopasowują klucz do nieba

*

rzeczy cichcem budują swój mit
gdy tylko spuścisz je z oczu

*

zaniemówienie
oniemienie
omamienie blaskiem tego świata

Korzystając z doświadczeń poezji lingwistycznej (zwłaszcza Tymoteusza Karpowicza i Mirona Białoszewskiego) i wsłuchując się uważnie w melodykę twórczości poetyckiej Wisławy Szymborskiej i Stanisława Grochowiaka, wypracowała Urszula Kozioł własny, indywidualny język poetycki, łączący, co jest w poezji polskiej przymiotem rzadkim (a którym wcześniej cechowała się w takim stopniu chyba tylko twórczość Mistrza Ildefonsa), liryzm i humor, wzloty wyobraźni i bystrą obserwację świata otaczającego, przejrzystość i wyrafinowanie.

Anna Szóstak

Franciszek Madera, *Podole – moja miłość*, 28 s.; Teresa Dzedzej, *Muzyka kryształów*, 32 s.; Bronisława Raszkiewicz, *Światło słowa*, 32 s.; Iwona Jankowska, *Dmuchałce na białej kartce*, 32 s. – Organon, Zielona Góra 2005.

Prawie wszyscy piszą poezje. Prawie wszyscy bez specjalnych trudności wydają swoje „dzieła”. Coraz częściej bywa tak, że ktoś w wieku emerytalnym przypomina sobie o dawnej zarzuconej

z zawodowych lub życiowych powodów pasji artystycznej. I z zapalem próbuje ją wznowić, gdy czasu wolnego już sporo. Nie lekceważę jakiegokolwiek pisania poezji. Bo jeśli taka forma spędzania czasu coś ważnego oznacza, to zawsze jest to lepsze, mimo że niekoniecznie artystycznie znaczące, niż innego rodzaju wegetacyjne zajęcia. Nigdy nie wiemy, czym i kiedy zaowocuje tego typu ziarenko. Tak też patrzę na kolejne cztery zbiorki, które pod auspicjami Stowarzyszenia Jeszcze Żywych Poetów wydali autorzy właśnie już nie młodzi. Metrykalnie bowiem osiągnęli życiową dojrzałość i utrzymują się z emerytur. Przynależeniu do Stowarzyszenia zawdzięczają dwie rzeczy: po pierwsze publikację, a po drugie, zapoznanie się ze współczesnym sposobem pisania. Jakąś literacką, gdy idzie o styl, oglądę. Lektura tych tomików upewniła mnie, że w każdym przypadku motorem pisania jest wspomnienie. Pamięć dzieciństwa, młodości, świadomość upływu czasu. Choć oczywiście nie tylko te kwestie, bo i doraźne przeżycia dochodzą do głosu. Po latach, szczególnie panie, odkrywają ponownie swoją wrażliwość i bywają skłonne otoczyć każdą rzecz i zdarzenie liryczną żuźliwością. W gronie ostatnio wydanych zbiorów jest tylko jeden autor - Franciszek Madera, dla którego („Podole – moja miłość”) znaczenie ma wypiewanie uroku jego kresowych stron na Podolu, rodzinnego proggu: „Który w moich wspomnieniach żyje, / I widzę go często we śnie.” Autor przy pomocy czterowersowych zwrotek, najczęściej rymowanych parzyście – trzeba przyznać – gorliwie, bez wdawania się w nadmierne poetyzowanie, dość konkretnie, ale i stereotypowo, stara się atuty tamtych stron przedstawić. Nie unika wysoce patetycznych dywagacji patriotycznych ani myśli historycznych. Tylko „Rodzinny dom” brzmi najbardziej przekonująco, bo poeta opisuje: „Ten dom lepianką był zwany, / Słomą i gliną lepione miał ściany”. Natomiast tomiki: Teresy Dzedzej („Muzyka kryształów”), Bronisławy Raszkievicz („Światło słowa”) czy Iwony Jankowskiej („Dmuchałce na białej kartce”) cechuje już ambicja posługiwania się nieco nowocześniejszą retoryką. To widać po lekturze któregośkolwiek z tekstów. I przyznam, że te wiersze czyta mi się lepiej, gdyż wolne są od staroświeckich wzorów. Wyraziściej widoczne bywa ja liryczne, osoba, gdyż nie tylko o wspomnienie chodzi, ale także o wyrażanie podmiotowości. Mimo, że wytrawny czytelnik poezji, dostrzeże różnego typu słabości, to jakby nie patrzeć jawią się te wiersze jako czasami przekonujące świadectwa osobistych doświadczeń. Bo też najczęściej bywają czymś w rodzaju zapisku lub notatki, próbą zatrzymania nastroju, klimatu chwili, opowieścią biograficzną. W ten sposób sporo dowiadujemy się o skali wrażliwości i odczuwaniu egzystencji. Jak ona w każdym z prezentowanych ujęć wygląda. Wewnętrzny dramat cechuje osobowość Teresy Dzedzej, która ma skłonność do ostrego, bez złudzeń, często smutnego, detalicznego widzenia swojej i otaczającej egzystencji: „Czasami po kółkach idę”. Na swój sposób zbliża się do własnej prawdy o tym jak chropawe i okrutne bywa życie i bezradny w nim może być człowiek. Potrafi być szczerą, ale i powściągliwą w prezentowaniu osobistych obsesji. Tym zjednuje odpowiednią dozę szacunku. Natomiast Bronisława Raszkievicz, emerytowana nauczycielka, w swoich wierszach w sposób bardzo osobisty, chcąc wywołać ciepły, nastrojowy klimat, w lirycznym w tonie eksploatuje wspomnienia, czasami bardzo ładnie, przywołuje dzieciństwo: „Dotykają mnie ciepłe dłonie / Rodziców”, wraca do tego co podstawowe, np. „Bochen chleba w dłoni”, „klos wypełniony ziarnem”, „pobielona wapnem chata”. Wszystkie obrazy odnoszą się do czasu minionego, przeżywanego na Kresach. Autorka stwierdza wprost: „Przez moje żyły płynie / Żejmiana”. Poza tym są tu też wiersze pisane jako dedykacje, okolicznościowe, adresowane do określonej osoby lub osób. Potrafi Raszkievicz napisać o górskiej wodzie w strumieniu: „Rozlane na kamieniach / Szkło”. A więc jakoś wnikliwie, gdzie indziej wspiera się zmysłem obserwacyjnym, np. „O świecie”. To są oczywiście dotknięcia tematów, spraw, ale jeszcze nie wejście w głąb. Przy wszystkich podobieństwach tematycznych, ucieczkach w retrospekcję, dzieciństwo, odsłanianiu własnych przeżyć, trochę jednak inne są utwory Iwony Jankowskiej. Ze względu na zdolność mówienia jakby całkowicie z pozycji własnego wnętrza i własnej egzystencji. Pozwala to odbierać te wiersze nie jedynie tematycznie, ale jako dalece liryczne objęcia tyleż zdarzeń, co ich odczuć, pisze: „Niepowrotem jesteś / Ja twoją niepamięcią”. Mimo wyczuwalnych napięć mamy do czynienia z dbałością o spojrzeń delikatne, łagodne, takie które jednak zasadniczo niczego nie zburzy, bowiem jest nadzieja, cyt.: „Może tym gestem uleczysz / Wszystkie rany”. Z tego też powodu miłość (miłość małżeńska) jest określana jako prozaicznie „starannie odmierzane krople”. Czasem coś ją uwiera, odczuwa jakiś niedostatek. Nie są w stanie jej sensu zniweczyć „zdeptane kapcie”, oznacza to, że ma tu miejsce rozumienie logiki życia, wytrwałość, a to też się liczy. Nie twierdzą, że omówionym zbiorom

można przypisać wysoką kwalifikację literacką. Nie da się ukryć, że wszystkie noszą znamiona pierwszego kroku, na dodatek późnego. Byłoby jednak niesprawiedliwością nie dostrzec jakichkolwiek pozytywnych, co gdyby miało udaną kontynuację, mogłoby zadowolić bardziej wymagające oczekiwania. Właśnie cała rzecz w spełnieniu lub niespełnieniu tych oczekiwań.

Czesław Sobkowiak

Romuald Szura, *Zielony zapach lasu*, Pro Libris, Zielona Góra 2004, 90 s.

Szczypty objętościowo debiutancki tomik prozy Romualda Szury, nie wiem dlaczego przemilczany przez rodzimych Zoilów, wyrasta bez wątplenia z jego poetyckich doświadczeń. Dotyczy to przede wszystkim lirycznego obrazowania, jak i sensualnego opisu dookólnego świata. Warto przypomnieć, że Szura jest przecież autorem takich zbiorów wierszy jak „Kołysanie czasu”, „Popołudnie” i „Sosnowe klawisze”, a także licznych słuchowisk radiowych o wyraźnych proweniencjach poetyckich. Natomiast wcześniejsze próby prozatorskie publikował w wielu antologiach i almanachach opowiadań lubuskich pisarzy, a w jego dorobku znajdują się również przekłady utworów poetyckich twórców naszych niemieckich sąsiadów.

W 11 opowiadaniach, pomieszczonych w tym tomiku, których akcja rozgrywa się w lubuskim regionie, obfitym w lasy i jeziora, o czym świadczą nie tylko topografia i nazwy Ośna, Wymiarek czy miasta z Winobranem, ale wiele też znaków szczególnych, spotykamy ludzi zwykłych, obarczonych przeżyciami i wspomnieniami, nie raz sięgającymi daleko wstecz, aż do lat powojennych. Natomiast las stanowi dla nich owo magiczne miejsce wypoczynku i dojmującej radości zachwytu nad pięknem natury, ale również przecież jest źródłem utrzymania, zarobkowania jako drwale czy robotnicy tartaczni. Lub także zbieracze runa leśnego. Ale nie to jest w tej prozie najważniejsze. Podczas licznych podróży i spotkań, czasami przypadkowych, wędrówek i wypoczynków nad jeziorami, jesteśmy uczestnikami interesujących rozmów, życiowych konstatacji oraz konfrontowania tego co dziś, z tym co dawno temu. Stwarza to okazję do intymnych wyznań, żalu a nawet nostalgii za utraconym czasem. I tak zdarzenia pospolite i zwykłe mieszają się ze wzniosłymi, a relacje interpersonalne obywają się na poziomie delikatnie zarysowanych sytuacji, zbliżeń, kontaktów i wspomnień.

Bohaterowie Szury przeżywają tedy małe ludzkie dramaty i dotkliwe napięcia, zawiedzione, bądź nagle urwane nadzieje, utratę zaufania do ludzi kiedyś im bliskich. Autor sprawnie posługuje się językiem literackim, ale gdy trzeba sięga po dialogi gwarowe lub mowę kolokwialną. Warto w tym miejscu zwrócić uwagę na potoczność i funkcjonalność wielu dialogów oraz piękne sceny, odsłaniające ów magiczny las. Te obrazy poetyckie są sugestywne, a splecione z ludzkim bytowaniem nabierają szczególnego znaczenia. Zwykle jednak dominują nad całą narracją, przytłaczając opisywane problemy obyczajowe. Jeśli jednak zewnętrzna charakterystyka postaci jest dość wyrazista, to zabrakło im pogłębienia psychologicznego – stają się jednowymiarowi, płascy.

W opowiadaniu „Przyjaciel Maksym”, odsłaniającym po reportersku działania miasteczkowej klikki, na zakończenie autor konkluduje: „Może nareszcie pęknie tama milczenia, a błąd strach padnie na tych z klikki. Może wreszcie zmieni się coś w tym zamkniętym światku. Może upadek Barańca pociągnie za sobą upadek skarłałych bonzów? Kto odgadnie, co może się zdarzyć w mieście tak małym, że wszystkie jego sprawy mógłby zmieścić w jednym dniu mego życia. Jednego tylko byłem pewien. Nie zmieni się zapach żywicy, trochę octowy, trochę cierpki, zapach lasu, który musi stale umierać, by mogli żyć ludzie.” Niestety, tego typu zbanalizowanych konstatacji jest w tej prozie więcej. Nie miejsce tu na przytaczanie przykładów. To one właśnie rozbijają liryczność tej w zamierzeniu autora prozy, mającej umożliwić nam podziwianie świata. Tak nie jest. Bohaterowie i ich przeżycia szybko umykają naszej pamięci. Nawet słuszna refleksja „Dlaczego człowiek ucieka przed człowiekiem? A może przed samym sobą, gdy czyjś wytrych brutalnie otwiera pamięć” jest dla nas obojętna, bo zanadto oczywista. No, i wreszcie uwaga końcowa, dotycząca „Wesela nad rzeką” – opowiadania zamykającego tomik. W intencji autora miała być to próba opisanie stosunków polsko-niemieckich, zakończonych w tekście wzajemną koegzystencją, a nawet tworze-

niem wspólnych rodzin, jak np. w Gubinie. Niestety, zakończenie zbyt mocno pobrzmiewa publicystką, i to nawet gazetową.

Wielokrotnie doświadczenia dziennikarskie Szury położyły się cieniem nad tą prozą, która mogła być czysta i zachwycająca swą urodą. Jak las, który jest rzeczywistym bohaterem tej książki...

Zenon Łukaszewicz

Maria Miłek, *W czas marny potrzebni poeci*, Organon, Zielona Góra 2006, 198 s.

Jak zwykle propozycja wydawnicza „Stowarzyszenia Jeszcze Żywych Poetów” nosi znamiona hybrydy. „W czas marny potrzebni poeci” to zbiór szkiców, recenzji, miejscami prób esejów Marii Miłek o twórczości autorów skupionych wokół SJŻP. A że takie skupiska twórcze charakteryzują się dość swobodną hierarchią wartości przy rekrutacji członków, to i poziom ich twórczości jest adekwatnie różny. Ale czy w związku z tym poziom pracy Marii Miłek musi te kryteria albo ich brak wchłaniać na zasadzie mimikry krytycznej? Otóż nie. Jeśli mówimy o hybrydzie, czyli nieokreślonym gatunkowo tworze, to tylko w kontekście bardzo spolaryzowanej jakości poezji, którą wzięła na warsztat eseistka (zresztą sama też poetka, i co gorsze... zaprzyjaźniona ze wzmiankowanym Stowarzyszeniem). O... przyjaciółach nie mówi się źle. W... przyjaźni obowiązuje lojalność. Sama autorka chyba ma tego świadomość. Swoje szkice krytyczne nazywa „impresjami”. Ponadto dodaje: „Chciałam opowiedzieć nie tylko o poetach, ale także o czytaniu poezji”. To bardzo chytry kwantyfikikator. Można w tym wyczuć próbę krygowania się, tłumaczenia się z jakiejś specjalnej taryfy krytycznej. Oczywiście jeśli rzecz całą traktujemy poważnie. Przyjmijmy takie założenie jako tezę. W takim ujęciu nie da się udowodnić niczego. Przynajmniej w sytuacji poruszania się w obszarze... literatury, ze wszystkimi jej przypadłościami jakościowymi. Subiektywizm, na który powołuje się autorka, nie ma tu nic do rzeczy. Sama przecież potyka się o takie pojęcia, jak „poetyka stosowana”, „pomiarowa aparatura”; powołuje się na konstatacje autorytetów (M. Gołaszewskiej, Świętego Augustyna, Hezjoda itp.); by wreszcie, już nie we wstępie, ale na długim dystansie całej... rozprawy rozłożonej na poszczególne nazwiska „operowanych” poetów, wytoczyć oręż krytyczny największego kalibru, z koronkowo wydzierganą logistyką krytyczną. No i efekt bywa czasami zgoła karykaturalny. Oto poetycki dystych (nazwiska autorki z litości nie wymienię):

Zągrzę słowa jak wargi do krwi/ Wytrysną czerwoną plamą na kartce papieru, obtacza, jak panierka krytyczny słowotok, tyczący godnie, nie przymierzając jakiejś Poświatowskiej albo innej Szymborskiej: „Powiedziałabym nawet, że świat w tej niezwykle osobistej liryce jest nie tylko „zawieszony na drzewie”, lecz także pęknięty. Coś się ma wydarzyć, ale – nie staje się. Coś prawie jest – ale ledwie zamigocze, już mija. Owa dychotomia oddaje rodzaj zawieszenia między nadzieją a rozczarowaniem. Jest to zresztą cechą znamioną tej poezji: balansowanie na granicy między ciszą i krzykiem, burzliwą emocją i zągrzyeniem warg. Stąd częstym chwytem stylistycznym jest posługiwanie się rodzajem puenty. Wiersz toczy się niejako w górę, wznosi się, jest oczekiwaniem, ale w ostatnim momencie opada i kończy się niespełnieniem”. No cóż, ten przydługi cytat jest tylko nikczemnym wyimkiem z imponujących „możliwości krytycznych” autorki „marnego czasu” i „potrzebnych poetów”. A przecież ten nieszczęśliwy dystych, dwuwiersz, zaledwie dwie linijki i tak wystarczą żeby obiektywnie potwierdzić pretensjonalność, banalność „gryzienia warg” i „tryskania” krwią po papierze. Zresztą autotematyczność poezji czeladniczej jest pierwszym ze schodów do nikąd. A cały, nie da się ukryć fachowy, wywód krytyczki jest do tej poetyckiej, ciężkostrawnej potrawy także jeszcze cięższej strawną przystawką. To tak jakby golonkę polać zasmażką i popić to wszystko bulionem.

I tak jest przynajmniej w połowie „Czasu marnego”. Owszem, Maria Miłek czasami przemycza jakieś połajanki, ale te są o dziwo jakby już wypłukane z warsztatowej precyzyjności. Co i tak nie przewartościowuje pozytywnie mieszanych ocen całej książki.

A szkoda. Bo wartościowe, wnoszące nowe elementy do dyskusji o literaturze w ogóle, są szkice o poezji autorów w miarę obiektywnie już obecnych w życiu literackim, tym, już bez dodatkowych epitetów, sankcjonujących zwykle ułomności artystyczne. Mowa o „impresjach” o twórczości Małgorzaty Stachowiak, Władysława Klepki, Agnieszki Leśniewskiej, Marzeny Więcek i Jolanty Pytel. Gdyby Maria Miłek tylko tych poetów „namaściła” swoim niewątpliwym talentem recenzenckim, powstałaby interesująca, domknięta aksjologicznie książka krytyczna. Tymczasem mamy do czynienia z kolejną już inicjatywą SJŻP, którą trzeba odłożyć z nieutulonymi mieszanymi uczuciami.

Czesław Markiewicz